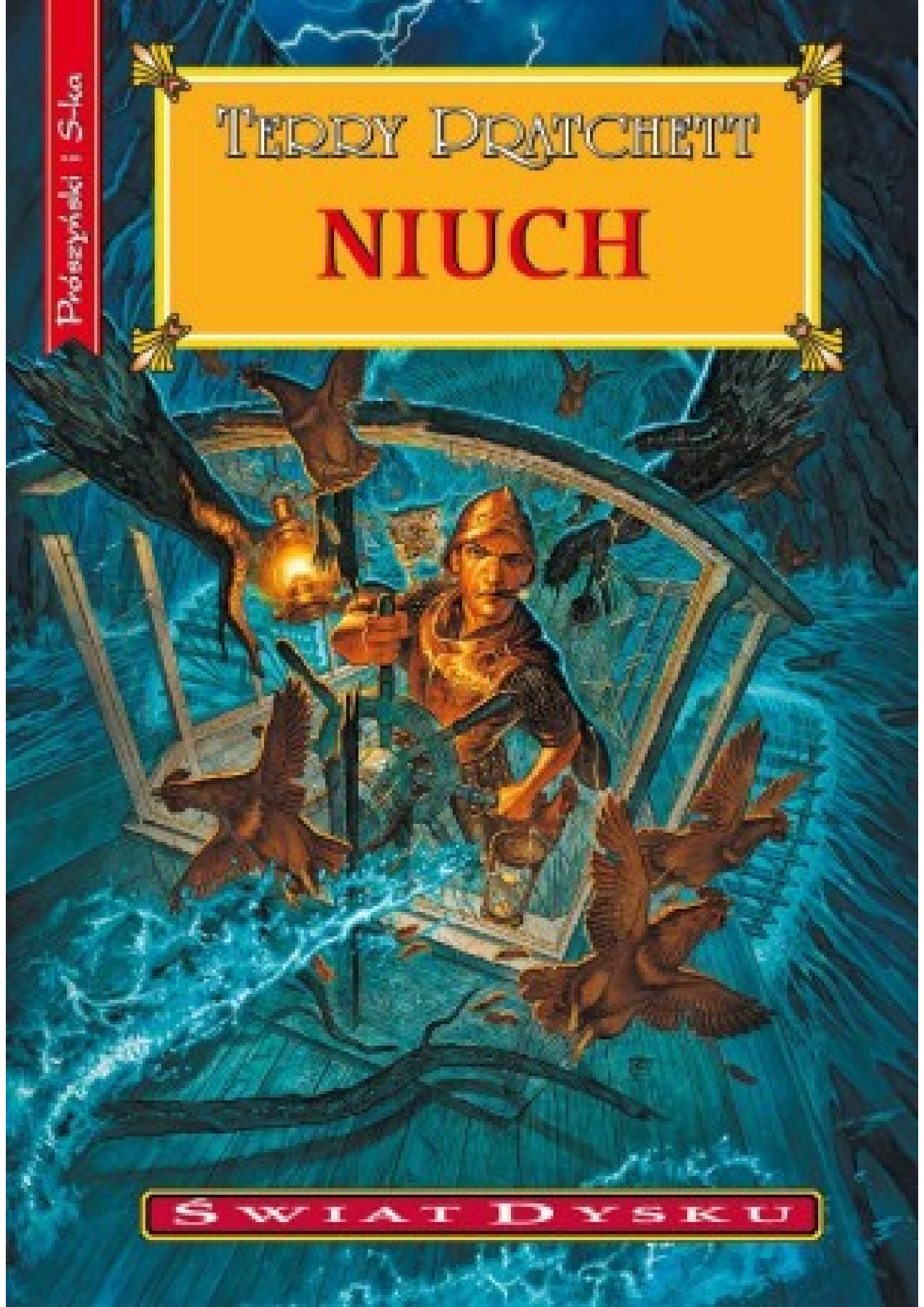


Przełożył | Słowa

TEDDY DRATCHETT

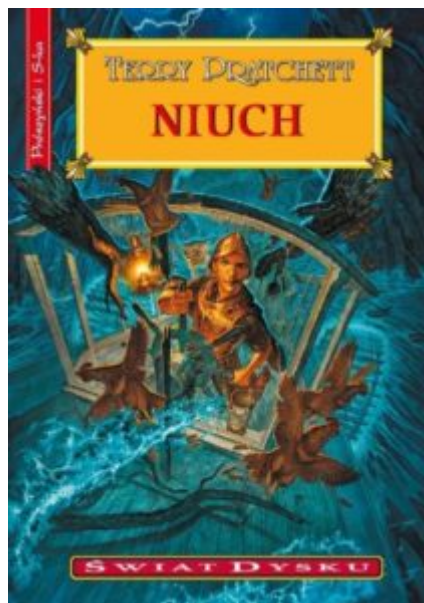
# NIUCH

ŚWIAT DYSKU



# Terry Pratchett "Niuch" (fragment 3)

Fahrenheit Crew



Dwór był oddalony od miasta o pełny dzień drogi, co w terminologii woźniców oznaczało dwa dni, z postojem w zajeździe. Vimes spędził ten czas, nasłuchując tętentu kopyt wierzchowców posłańców z miasta, ścigających ich, by przekazać tak pożądane wieści o katastrofie. Zwykle Ankh-Morpork dostarczało ich praktycznie co godzinę, teraz jednak wyraźnie zawiodło swego zrozpaczonego syna w jego godzinie wegetacji.

Inne słońce zachodziło już, rzucając blask na tego konkretnego syna, kiedy powóz zatrzymał się przed bramą. Po sekundzie czy dwóch stary człowiek... bardzo stary człowiek... pojawił się znikąd i urządził prawdziwy pokaz otwierania wspomnianej bramy. Potem stanął na baczność, przepuszczając powóz, rozpromieniony świadomością dobrze spełnionego obowiązku.

Za bramą powóz się zatrzymał.

Sybil, która coś czytała, szturchnęła męża, nie podnosząc głowy znad książki.

- Zwyczajowo należy dać panu Coffinowi pensa. Za dawnych czasów mój dziadek miał w karocy mały węglowy piecyk, w teorii żeby było cieplej, ale głównie po to, żeby rozgrzewać pensy do czerwoności, a potem chwytać je jakimiś szczypcami i rzucać odźwiernemu. Podobno wszystkich to bawiło, tak przynajmniej twierdził mój dziadek, ale już tego nie robimy.

Vimes pogrzebał w sakiewce, szukając jakichś drobnych, otworzył drzwiczki powozu i wysiadł, ku zaskoczeniu rzeczonożnego pana Coffina, który cofnął się w gęste krzaki. Patrzył na Vimesa wzrokiem zapędzonego w pułapkę zwierzęcia.

- Dobrze się pan spisał, panie Coffin, znakomicie pan podniósł ten skobel, świetna robota.

Chciał wręczyć staruszkowi monetę, ale pan Coffin cofnął się jeszcze dalej, budząc wrażenie, że lada chwila rzuci się do ucieczki. Vimes cisnął monetę w powietrze, a przerażony staruszek złapał ją, splunął na nią sprawnie i rozpląnął się w roślinności. Vimesowi zdawało się, że nie był zadowolony z braku syknięcia.

- Jak dawno twoi krewni przestali rzucać służącym gorące pieniądze? - zapytał, kiedy wrócił na miejsce, a powóz ruszył dalej.

Sybil odłożyła książkę.

- Mój ojciec kazał tego zaniechać. Mama się skarżyła. Podobnie jak odźwierni.

- No myślę.

- Nie, Sam. Oni się skarżyli, że ten zwyczaj się skończył.

- Przecież to poniżające!

- Tak, Sam. Wiem. - Sybil westchnęła. - Ale rozumiesz, to także dodatkowy dochód. Za czasów

mojego pradziadka, jeśli ruch był duży, odźwierny mógł zarobić nawet sześć pensów dziennie. A że staruszek był niemal permanentnie nasączony rumem i brandy, często rzucał nawet dolara. Wiesz, takiego prawdziwego, staromodnego dolara z litego złota. Za coś takiego człowiek mógł swobodnie przeżyć rok, zwłaszcza tutaj.

- No tak, ale... - zaczął Vimes, lecz żona uciszyła go uśmiechem.

Na takie okazje miała specjalny uśmiech: ciepły, przyjazny i wykuty z kamienia. Człowiek musiał przerwać dyskusje o polityce, bo mógł się z nim zderzyć, nie powodując żadnych strat dla nikogo prócz siebie. Rozsądnie, z mądrością zyskaną na dobrze przećwiczonych lekcjach, Sam Vimes ograniczył się do wyglądania przez okno.

Kiedy brama została już daleko w tyle, w gasnącym świetle dnia Vimes zaczął się rozglądać za wielkim domem, który powinien chyba stać w samym środku tego wszystkiego. Nie znalazł go, dopóki nie przeturkotali długą aleją drzew przez coś, co jakiś nędzny poeta nazwałby pewnie „łąką szmaragdową” z białymi punktami, będącymi - jak uznał Vimes - prawie na pewno owcami, przez wymanikiurowany lasek, za którym dotarli do mostu, jaki nawet w mieście nie byłby nie na miejscu. Most spinał brzegi czegoś, co Vimes uznał początkowo za ozdobne jezioro, a co okazało się bardzo szeroką rzeką. Kiedy przejeżdżali nad nią z godnością, zobaczył dużą łódź poruszającą się po wodzie jakimś nieznanym sposobem, który jednak - sądząc po zapachu, kiedy ich mijała - miał coś wspólnego z bydlęciem.

W tym momencie odezwał się Młody Sam.

- Te panie nie mają żadnych ubrań! Czy chcą sobie popływać?

Vimes z roztargnieniem kiwnął głową, ponieważ dziedzina nagich dam nie należała do tematów, o których chciałby dyskutować z sześciolatkiem. Poza tym cały czas obserwował łódź; woda pieniała się wokół niej, a marynarze na pokładzie wykonali coś, co zapewne było tradycyjnym marynarskim gestem, w stronę lady Sybil, choć możliwe, że w stronę jednej z nagich dam.

- To rzeka, prawda? - zapytał.

- Tak, Quire - potwierdziła lady Sybil. - Zbiera wody z prawie całej krainy oktarynowych traw i wpada do morza w Quirmie. O ile jednak sobie przypominam, większość ludzi nazywa ją Zdradziecką Staruchą. Ma swoje humory. Ale pamiętam, że jako dziecko lubiłam te małe rzeczne stateczki. Naprawdę były ładne.

Powóz zaturkotał na drugim końcu mostu i ruszył długim podjazdem do... tak jest, do wiejskiego domu, nazywanego tak zapewne dlatego, zdaniem Vimesa, że był wielkości sporej wsi. Niewielkie stadko saren czekało na trawniku, a wielkie stado ludzi zebrało się przy tym, co najwyraźniej było frontowymi drzwiami. Ustawili się w dwa rzędy, jak na weselu. Tworzyli coś w rodzaju gwardii honorowej, a musiało się ich tu zjawić ze trzysta osób, od ogrodników do lokajów. Wszyscy próbowali się uśmiechać, choć nie wychodziło im to dobrze. Przypominali Vimesowi paradę Straży Miejskiej. Dwaj lokaje zderzyli się ze sobą, próbując ustawić stopień przy drzwiczkach powozu, a Vimes całkiem zmarnował okazję, wysiadając po drugiej stronie i sprowadzając za sobą lady Sybil. Pośrodku nerwowego tłumu zauważył przyjazną twarz. Należała do Willikinsa, kamerdynera i ogólnego zaufanego sługi z miasta. W jego kwestii Vimes okazał się nieugięty: skoro ma wyjechać na wieś, zabiera ze sobą Willikinsa. Przecież, jak tłumaczył żonie, Willikins nie jest policjantem, więc to jednak nie to samo co zabieranie pracy na wakacje. I to była prawda. Willikins absolutnie nie był policjantem, ponieważ większość policjantów nie ma pojęcia, jak załatwić kogoś rozbitą butelką, nie kalecząc sobie przy tym ręk, albo jak z typowych przyrządów kuchennych stworzyć broń o ograniczonym, ale specyficznym działaniu niszczącym. Willikins miał przeszłość, która ujawniała się, kiedy przychodziło mu kroić indyka. Teraz Młody Sam, widząc jego poznaną bliznami, ale znajomą twarz, przebiegł przed rzędem niepewnych służących i objął kolana kamerdynera. W odpowiedzi Willikins podniósł chłopca, przytrzymał głowę w dół, a potem zakręcił nim, po czym delikatnie postawił na ziemi. Cały ten proces jak zawsze dostarczył sześciolatkowi wielkiej radości. Vimes ufał Willikinsowi. A mało komu potrafił zaufać. Wieloletnia praca w policji sprawia, że

człowiek staje się w tej kwestii dość wybredny.

Pochylił się do żony.

- Co mam teraz robić? - szepnął, gdyż szeregi tych niespokojnych półuśmiechów zaczynały go denerwować.

- Co tylko zechcesz, skarbie - odparła. - Ty tu jesteś szefem. Przyjmujesz paradę straży, prawda?

- Tak, ale wtedy wiem, kto jest kim, jaki ma stopień i wszystko! W mieście nigdy nie byłem w takiej sytuacji!

- Owszem, kochanie, ale to dlatego, że w Ankh-Morpork wszyscy znają komendanta Vimesa.

No dobrze... Przecież to nie może być zbyt trudne...

Podszedł do mężczyzny w wystrzępionym słomkowym kapeluszu, z łopata w ręku oraz - kiedy Vimes się zbliżył - w stanie tłumionego przerażenia, większego nawet niż u samego komendanta.

Vimes wyciągnął rękę. Mężczyzna wyglądał, jakby jeszcze nigdy w życiu niczego takiego nie widział.

- Witam, jestem Sam Vimes - zdołał powiedzieć Vimes. - A pan kim jest?

Człowiek, do którego się zwrócił, rozejrzał się przerażony, szukając pomocy, wsparcia, porady albo ucieczki, jednak bezskutecznie. W tłumie zaległa śmiertelna cisza.

- William Butler, wasza łaskawość - przedstawił się w końcu. - Jeśli wasza łaskawość nie ma nic przeciw temu.

- Miło cię poznać, Williamie.

Vimes znów wyciągnął rękę, od której William niemal się odsunął. Po chwili wahania podał jednak dłoń, podobną w dotyku do starej skórzanej rękawiczki. Nie tak źle, uznał Vimes i ruszył na nieznane terytorium.

- A czym się tutaj zajmujesz, Williamie?

- Ogrodnictwem - wykrztusił William i podniósł łopatę, trzymając ją między sobą a Vimesem jako jednocześnie osłonę i dowód rzeczowy swojej szczerości.

Ponieważ Sam Vimes także nie orientował się w tej kwestii, uznał, że wystarczy sprawdzić palcem krawędź łopaty.

- Utrzymana w należytej sprawności, jak widzę. Brawo, panie Butler.

Podskoczył, kiedy poczuł stuknięcie w ramię.

- Ty też dobrze sobie radzisz, kochanie - zapewniła go żona. - Ale naprawdę powinienes wejść na schody i pogratulować kamerdynerowi i ochmistrzyni znakomitego przygotowania służby. Gdybyś chciał z każdym pogawędzić, nie skończysz do północy.

Po czym lady Sybil mocno chwyciła męża za rękę i między dwoma rzędami skupionych spojrzeń poprowadziła na schody.

- No dobrze - szepnął. - Widzę lokajów i kucharzy, i ogrodników, ale co to za typy w grubych kurtkach i melonikach? Komornicy nas nachodzą?

- To raczej mało prawdopodobne, kochanie. Tak naprawdę to niektórzy z naszych gajowych.

- Te kapelusze dziwnie u nich wyglądają.

- Tak sądzisz? Wymyślił je lord Melon, żeby chroniły jego gajowych przed groźnymi atakami kłusowników. Podobno są zwodniczo wytrzymałe i o wiele lepsze od stalowych hełmów, bo chronią przed nieprzyjemnym dzwonieniem w uszach.

Majordomus i ochmistrzyni wyraźnie nie potrafili ukryć niezadowolenia z faktu, że nowy pracodawca przed rozmową z nimi postanowił ucisnąć dłoń zwykłemu ogrodnikowi. Oboje charakteryzowali się tradycyjną obfitością kształtów i różowością, jakich Vimes nauczył się w takich sytuacjach oczekiwać. Widząc, że właściciel rezydencji nie podchodzi do nich, sami ruszyli do niego tak szybko, jak tylko potrafiły ich nieść krótkie nogi.

Vimes znał życie pod schodami, na bogów, znał je dobrze! Jeszcze nie tak dawno policjant wezwany do bogatego domu musiał pukać do kuchennych drzwi, gdzie dostawał polecenie, by zabrać do aresztu jakąś zapłakaną pokojówkę albo niezbyt bystrego pucybuta, oskarżonych bez żadnych dowodów o kradzież pierścionka czy szczotki ze srebrną rączką, które pani domu zapewne znajdzie wkrótce potem, może kiedy już dokończy swój gin. Nie do tego powinni służyć policjanci, tyle że w rzeczywistości właśnie do tego służyli. Chodziło w tym wszystkim o przywileje i młody Vimes nie

zdążył jeszcze przetrzeć pierwszej pary policyjnych butów, kiedy sierżant wytłumaczył mu, co to oznacza. A oznaczało prywatne prawo. W tamtych czasach człowiekowi wpływowemu bardzo wiele mogło ująć bezkarnie, jeśli tylko miał odpowiedni akcent, odpowiedni herb na krawacie albo odpowiednich kolegów. A młody policjant, który protestował, mógł skończyć bez pracy i bez referencji.

Teraz było inaczej. Zupełnie inaczej.

Ale w owych czasach młody Vimes zaczął każdego majordomusa traktować jak podwójnego zdrajcę – wobec obu stron. Tak więc tęgi mężczyzna we fraku został przeszyty niechętnym wzrokiem. Fakt, że skinął głową, też nie pomógł – Vimes żył w świecie, gdzie ludzie salutowali.

– Jestem Silver, majordomus, wasza łaskawość – oznajmił z lekkim wyrzutem w głosie ów człowiek. Vimes natychmiast chwycił go za rękę i potrząsnął nią przyjaźnie.

– Miło mi poznać, panie Silver.

Majordomus skrzywił się wyraźnie.

– Silver, wasza łaskawość, nie „pan” Silver.

– Jakże mi przykro, panie Silver. Więc jak pan ma na imię?

Wyraz twarzy majordomusa stał się źródłem cichej radości Vimesa.

– Silver, panie. Zawsze tylko Silver.

– No cóż, panie Silver, osobiście twardo wierzę, że pod spodniami wszyscy ludzie są tacy sami.

Silver zeszywniał.

– To całkiem możliwe, panie, ale jestem i zawsze będę Silverem. Dobry wieczór, wasza łaskawość. – Odwrócił się. – Dobry wieczór, lady Sybil. Minęło już chyba siedem czy osiem lat od ostatniej bytności kogoś z rodziny. Czy możemy liczyć na kolejną wizytę? I czy wolno mi przedstawić moją żonę, panią Silver, ochmistrzynię, której jaśnie państwo chyba jeszcze nie znają?

Umysł Vimesa odruchowo tłumaczył tę krótką przemowę jako: „Zirytowałem się, że pominął mnie pan i podał rękę ogrodnikowi”... Jednak uczciwie musiał przyznać, że nie było to umyślne. Uściskał dłoń ogrodnika z czystej, otępiającej zgrozy. Dalsze tłumaczenie brzmiało: „...i teraz obawiam się, że w najbliższej przyszłości nasze życie nie będzie takie łatwe”.

– Jedną chwileczkę – zaprotestował głośno. – Moja żona także jest jej łaskawością, a to więcej niż zwykła lady. Syb... Jej łaskawość kazała mi przyjrzeć się schematom tytulatury.

Lady Sybil знаła męża tak, jak ludzie żyjący obok wulkanu, którzy nauczyli się już rozpoznawać nastroje sąsiada. Najważniejsze to nie dopuścić do wybuchu.

– Sam, jeszcze jako mała dziewczynka byłam lady Sybil dla wszystkich służących w obu naszych domach. Dlatego dzisiaj uważam lady Sybil za swoje imię, przynajmniej pośród tych ludzi, których mam za przyjaciół. Wiesz dobrze!

Ponadto, dodała w myślach, wszyscy mamy swoje drobne dziwactwa, Sam, nawet ty.

I z tym unoszącym się w powietrzu perfumowanym napomnieniem lady Sybil potrząsnęła dłonią ochmistrzyni, po czym zwróciła się do syna:

– A ty, Sam, idziesz do łóżka zaraz po kolacji. I żadnych dyskusji.

Po chwili grupka przyjezdnych wkroczyła do holu, który okazał się praktycznie zbrojownią. Zawsze byłby zbrojownią w oczach dowolnego policjanta, choć dla Ramkinów, którzy wieszali na wszystkich ścianach swoje miecze, halabardy, kordelasy, maczugi, piki i tarcze, zbiór ten stanowił zapewne tylko historyczne umeblowanie. A pośrodku wisiał ogromny herb Ramkinów. Vimes znał już ich dewizę, głoszącą: „Co mamy, to nasze”. Można by to uznać za sugestię.

Wkrótce potem lady Sybil wzięła się do pracy w wielkiej pralni i prasowni, wspólnie ze służącą Purity, którą – na żądanie Vimesa – zatrudnili po narodzinach Młodego Sama i która – jak wierzyli z żoną – dobrze się rozumiała z Willikinsem, choć co dokładnie oboje rozumieli, pozostawało kwestią spekulacji. Obie kobiety zajmowały się typowo żeńską rozrywką, polegającą na wyjmowaniu ubrań z jednych pojemników i wkładaniu ich do innych pojemników. Mogło to trwać długo, a obejmowało

krótką ceremonię podnoszenia niektórych elementów odzieży do światła i wzdychania ze smutkiem.

Z braku czegoś lepszego do roboty Vimes wrócił na wspaniałe schody, gdzie zapalił cygaro. Sybil twardo nie zgadzała się na palenie w domu.

- Nie musi pan tego robić, sir - usłyszał zza pleców. - Dwór dysponuje całkiem przyzwoitą palarnią, wyposażoną w nakręcany odciągacz dymu, bardzo elegancki, proszę mi wierzyć, nieczęsto się takie widuje.

Pozwolił więc Willikinsowi się tam doprowadzić.

Palarnia rzeczywiście była bardzo porządna, uznał, choć osobiste doświadczenia z palarniami miał mocno ograniczone. W pomieszczeniu znajdował się duży stół bilardowy, a pod podłogą piwniczka mieszcząca więcej alkoholu, niż dowolny zreformowany alkoholik powinien oglądać.

- Uprzedziliśmy ich, że nie piję, Willikins, prawda?

- Oczywiście, sir. Silver stwierdził, że Dwór uznaje za rozsądne... tak to chyba określił... utrzymywanie pełnej piwniczki na wypadek niespodziewanych wizyt.

- No cóż, wstyd byłoby nie skorzystać z takiej okazji, Willikins. Nie krępuj się zatem i nalej sobie. Willikins otrząsnął się wyraźnie.

- Ależ nie, sir. W żaden sposób nie mógłbym tego zrobić, sir.

- Dlaczego nie

- Tak się nie postępuje, sir. Byłbym pośmiewiskiem w Stowarzyszeniu Dżentelmenów Dżentelmenów, gdybym zachował się tak impertynencko, by napić się ze swoim pracodawcą. Byłoby to zachowanie powyżej mojej klasy.

Uraził tym Vimesa do głębi jego rozdygotanego, egalitarnego ducha.

- Znam twoją klasę, Willikins, i jest mniej więcej taka sama jak moja, kiedy już przejdziemy do sedna i kiedy rany się zagoją.

- Proszę mnie wysłuchać, sir - rzekł Willikins niemal błagalnym tonem. - Od czasu do czasu musimy przestrzegać pewnych reguł. Tak więc, przy tej okazji, nie napiję się z panem, jako że nie jest to Noc

Strzeżenia Wiedźm ani narodziny dziedzica, co zostało uwzględnione w regułach. Zamiast tego skorzystam z dopuszczalnej alternatywy, to znaczy zaczekam, aż pójdzie pan spać, i wtedy wypiję pół butelki.

No cóż, pomyślał Vimes, wszyscy mamy swoje zabawne przyzwyczajenia, choć u Willikinsa nie wszystkie byłyby zabawne, gdyby rozgniewał się na kogoś w ciemnym zaułku. Poweselał jednak, widząc, jak kamerdyner przeszukuje dobrze wyposażony barek koktajlowy i bardzo starannie wrzuca różne składniki do szklanego shakera.

Nie powinno być możliwe uzyskanie efektów alkoholu w drinku niezawierającym alkoholu, jednak pośród talentów, które Willikins przez lata zdobył, a może ukradł, była również umiejętność wymieszania zwykłych gospodarskich substancji w koktajl dający wszelkie wrażenia, jakich człowiek oczekuje od alkoholu. Trafiały tam tabasco, ogórek, imbir i chilli, a poza nimi... lepiej było nie zadawać zbyt wielu pytań.

Z drinkiem w dłoni Vimes usiadł wygodnie i zapytał:

- Służba w porządku, Willikins?

Kamerdyner zniżył głos.

- Och, czasem podbierają to i owo, sir, ale nie więcej niż zwykle, według mojej oceny. Każdy coś tam zwija, to zwykła premia w tej pracy i tak przecież działa świat.

Vimes uśmiechnął się, widząc wręcz teatralnie nieruchomą twarz Willikinsa, i odpowiedział głośno, specjalnie dla ukrytego słuchacza.

- Więc to sumienny pracownik, tak? Ten Silver? Miło mi to słyszeć.

- Moim zdaniem mocno trzyma się zasad. - Kamerdyner spojrzął znacząco na niewielką kratkę w ścianie, wlot legendarnego odciągacza powietrza, który niewątpliwie wymagał kogoś, kto nakręci mechanizm. A czy jakkolwiek majordomus, wart swego okazałego brzucha, zlekceważyłby możliwość

poznania opinii swego nowego pracodawcy? Akurat!

To jakby premia, prawda? Ludzie tu korzystają z okazji. Nie trzeba na to dowodów, takie zachowanie leży w ludzkiej naturze. On sam regularnie sugerował Sybil - nie śmiał nalegać - by zamknąć tę rezydencję i sprzedać ją komuś, kto naprawdę chciałby mieszkać w tym - jak słyszał - zimnym i skrzypiącym budynku, i tak wielkim, że można by w nim zakwaterować cały regiment wojska. Nie chciała o tym słyszeć. Miała piękne wspomnienia ze spędzonego tutaj dzieciństwa, jak tłumaczyła, ze wspinania się na drzewa, pływania, łowienia ryb w rzece, zrywania kwiatów, pomagania ogrodnikom i innych radosnych wiejskich przedsięwzięć, dla Vimesa dalekich jak księżyc. Jego młodzieńcze zajęcia wiązały się wyłącznie z przetrwaniem. Łapanie ryb w rzece Ankh było możliwe, pod warunkiem że człowiek bardzo się pilnował, by niczego nie złapać. Właściwie to zadziwiające, co taki człowiek mógł złapać, pozwalając jedynie, by jedna kropla Ankh spłynęła mu do ust. A co do wycieczek, no cóż, w Ankh-Morpork zdarzało się, że coś z dzieciaków wyciekało. Często krew.